

Jedynym sposobem, by uporządkować świat na nowo,
jest schwywanie zwyrodnialców

HUBERT HENDER

POLOWANIE



BUKOWY LAS

Kilka dni wcześniej

Po kolejnym łyku poczuł lekki zawrót głowy. Autem zakolysało. Rzucił pustą butelkę na fotel pasażera. Droga mieniła mu się przed oczami niczym powierzchnia zimowej brei w strumieniu. Chwilę później, kiedy przydrożne latarnie zostały w tyle, asfalt niewiele się różnił od czarnej nocy.

Dodał gazu. Chciał być już w domu, usiąść w fotelu i zapomnieć o męczącym dniu. Zapomnieć, ile dzisiaj zrobił i ile roboty czeka go jutro i pojutrze. Zerknął na białą torbę na fotelu pasażera. Zostało mu jeszcze parę butelek. Miał ochotę skutecznie się znieczulić, tak by urwał mu się film.

Do domu miał niespełna trzy kilometry, raptem kilka minut.

Manewrował na zakrętach na pamięć, znał tu każdy łuk, każdą dziurę, każde drzewo i znak drogowy, stare słupy energetyczne, które w środku nocy straszyły niczym monstra. Mijał słupki, które odmierzały cel. Jeszcze niecałe dwa kilometry. Na mostku auto wzniosło się, nieznacznie podskoczyło. Przejechał przez skrzyżowanie, butelki i puszki podzwaniały dźwiękami wolności i zapomnienia. Nieznacznie przyhamował, by nie stracić kontroli nad pojazdem.

Sięgnął po puszkę. Zawleczka zasyczała. Spod aluminiowej blaszki wyłoniła się biała piana, którą wessał z przyjemnością. Wziął duży łyk.

Półtora kilometra. Za chwilę będzie w domu, włączy dobry film i odpłynie na dobre.

Znów podniósł puszkę do ust, kiedy zobaczył idącego środkiem jezdni nagiego mężczyznę. Wcisnął hamulec. Auto wydało przeraźliwy pisk, wreszcie zatrzymało się ze sporym poślizgiem. Piwo rozlało się po desce rozdzielczej. Mężczyzna zatrzymał się, obrócił i popatrzył na pojazd, ale nie wyglądał na wystraszonego. Był zarośnięty. Tors, nogi, ręce, dawno niestrzyżone włosy, jakby przez ostatnie tygodnie mieszkał w lesie. Może skądś uciekł. Przyglądał się stojącemu samochodowi, potem się rozejrzał i powoli ruszył w kierunku auta. Chyba był pijany, choć się nie zataczał.

Wpierw szedł powoli, ale po chwili zaczął stawiać stanowcze, coraz szybsze kroki. Stał przy samochodzie, po czym zastukał w szybę.

Kierowca uchylił ją, wciskając przycisk przy drzwiach.

– Jest pan ranny? Coś się stało?

Nagi mężczyzna nie odpowiadał. Mijały sekundy. Wreszcie coś wyjął, a potem, nagle, uśmiechnął się niczym opętany i uderzył z całej siły pięścią w skroń kierowcy. Po chwili wymierzył kolejny cios. Drugą ręką szarpnął za drzwi. Wywlekł kierowcę na zimny asfalt. Miał sporo siły. Nawet za dużo. Kolejne uderzenie. Prosto w nos. I jeszcze jedno.

– Przestaaa! – wrzasnął, zasłaniając się. – Nic ci nie zrrrrro-biiii... – Nie dokończył, bo padło kolejne uderzenie. Czuł, że jeśli nie zasłoni twarzy, wykrwawi się, a z nosa zostanie miazga.

Nagi człowiek wyprostował się, popatrzył na swoją ofiarę i usiadł na miejscu kierowcy. Zatrzasnął drzwi, po czym wycofał sprawnie, zawrócił i ruszył w stronę miasta przekłętego.

W stronę Kłodzka.

Silne szarpnięcie sprawiło, że niemal wszystkie gumowe i plastikowe rurki runęły na podłogę. W pomieszczeniu zrobiło się głośno.

Obejrzał się, wytarł masywną dłońią mokrą twarz. Był jak w amoku. Z ust sączyła się ślina niczym u dzikiej bestii, która za moment ugryzie człowieka. Miał na to ochotę. Miał ochotę ugryźć, wbić ostre kły w czyjeś ciało.

– Co się dzieje? Gdzie jest... – Nie dokończył.

– Co ty robisz, do cholery?! – Usłyszał zdenerwowany głos człowieka ubranego w śnieżną biel wyglądającego jak anioł. Oczywiście próbowały wylapać ostrość.

– Zamknij się. Pomóż mi się podnieść.

– Oszalałeś?! Nie dasz rady stać o własnych siłach.

Mimo ostrzeżeń Igor Fijałkowski próbował się podnieść z łóżka. Za pierwszym razem wylądował na podłodze. Poczul niemiłosierny ból, ale przecież nigdy się nim nie przejmował.

– Leż. Uspokój się. Trzy dni temu odzyskałeś przytomność. Trzy – wycedził przez zęby Jan Pawłowski. – Nikt nie jest w stanie chodzić po takim pobiciu. Daj sobie pomóc, do cholery!

– Właśnie, jesteś medykiem, więc mi po prostu pomóż. No dawaj, podnieś mnie.

Lekarz, kręcąc głową, podszedł do niego i pomógł mu się wyprostować na nogach.

– Co ty chcesz zrobić?

– Muszę wracać do pracy – odpowiedział Igor. Ubrany był w piżamę w kratkę. Przeszkadzały mu plastry i bandaże po wielu wkluciach oraz wenflon. Na głowie również miał bandaż. Z tego, co pamiętał, był zszywany. Nie wiedział, czy raz, czy więcej.

– Wiem, że jesteś wściekły, ale zostaw to. Zaraz padniesz na korytarzu albo zlecisz ze schodów, a my znów cię będziemy musieli stawiać na nogi.

– Wreszcie się na coś przydadacie – wysapał policjant, po czym usiadł na krześle. Tylko tyle dał radę przejść. Zadyszał się, jakby wbiegł po schodach na dziesiąte piętro. – Musisz mi jeszcze raz wszystko opowiedzieć. – Rozejrzył się po niewielkiej sali, w której przeleżał ostatnie dni. – Od początku. Muszę mieć pewność, że dobrze zrozumiałem.

– Jakies trzy dni temu dzwoniłeś do Filipa.

– Tak – potaknął, próbując zebrać myśli. Pamiętał, że rozmawiał ze swoim najlepszym kolegą Filipem Krauzem, z którym od dwudziestu lat pracował w wydziale kryminalnym, choć miał wrażenie, że może to mu się przyśniło. Wszystko mu się zlewało, dzień i noc, sen i jawa. Co jakiś czas urywał mu się film, choć i tak czuł się o niebo lepiej niż przed paroma dniami, gdy został umieszczony na OIOM-ie. Wiedział, że był operowany, potem wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej, a następnie został wybudzony. Od razu zatelefonował do Filipa. Chciał mu wszystko opowiedzieć, od początku do końca. Przede wszystkim o tym, jak wpadł w wir niebezpiecznych wydarzeń. Jak skopał paru kłódzkich bandytów, którzy mieli powiązania z gangiem. A potem jak już go dopadli ludzie z grupy kłódzkiej. Kiedy to już wszystko się skończyło, zadzwonił do Filipa, umówili się na spotkanie. Potem znów urwał mu się film. Obudził się następnego dnia. Spał, potem znów się wybudzał. Pytał pojawiające się co jakiś czas pielęgniarki, co się dzieje, ale odpowiadały zdawkowo, że musi dużo wypoczywać. Wkurwiało go to.

– Zadzwoniłeś do Filipa. Mielście się spotkać, ale się nie udało – kontynuował lekarz. – Pamiętam, co mówiłeś, bo stałem obok. Niedługo później dowiedziałem się, że ktoś do niego strzelał.

– Żyje?

– Nie wiem. Zabrało go pogotowie, ale nie do nas, do jakiegoś innego szpitala.

– Niby, kurwa, dokąd?

Lekarz wzruszył ramionami.

Igor rozejrzał się po sali. Miał mroczki przed oczami. Bolała go głowa, szyja, kark. Potarł niecierpliwie twarz. Nie golił się od paru dni. Nie mógł tego wiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, że wygląda jak trup.

– Gdzie moje ubrania?

– Wyrzuciliśmy, wszystko było we krwi. Nie trzymamy zakrwawionych ubrań, na których mogłyby się znajdować... – Nie dokończył, bo zobaczył, że Igor wstaje o własnych siłach. – Siadaj...

– Mam do ciebie osobistą prośbę. A ja rzadko kogoś o coś proszę.

– Ja też mam prośbę. Jeśli chcesz przeżyć, zostań. Nie wychodź stąd. Przez kilka dni musimy cię mieć na obserwacji. Potem, przysięgam, osobiście cię wypiszę, bo mi działasz na nerwy.

– Dziękuję za postawienie mnie na nogi. Ale potrzebuję czegoś jeszcze.

Lekarz machnął ręką zrezygnowany. Wiedział, że nie wygra. Igor był jak dzikie zwierzę, które kieruje się instynktem, nie rozumem i logiką.

– Czego?

– Daj mi najsilniejsze leki przeciwbólowe, jakie masz. Daj mi cokolwiek, by chociaż trochę załagodzić to kurestwo. I jakieś końskie leki na wzmocnienie.

– Nie jestem weterynarzem.

– Więc chociaż bądź człowiekiem i pomóż.

– Tak, jestem, człowiekiem myślącym, odpowiedzialnym za twoje życie. Póki jesteś w tej sali.

– To wyjdźmy na korytarz albo na zewnątrz.

– Nie mogę, Igor. To nieetyczne.

– Do chuja pana, Janek. Postaw się na moim miejscu. Ledwie uszedłem z życiem. Polują na mnie. Chcieli mnie odjechać. Nie udało im się, ale uderzyli w Filipa. Muszę się dowiedzieć, kto

za tym stoi. I nie mogę tu zostać, żeby was nie narażać. Mogą przecież tu wrócić.

Lekarz przyjrzał się pacjentowi, który wyglądał raczej jak więzień zakładu karnego o zaostrozonym rygorze. Wyraz twarzy, poobijane dłonie, posiniaczona twarz, nabite ciało. Wyglądał na silnego, tyle że chwiał się pod własnym ciężarem.

Ale i tak dało się wyczuć, dostrzec w Igorze rodzaj zwierzęcej siły. Z czymś takim trzeba się urodzić.

Lekarz analizował sytuację. Nie miał pojęcia, co się dokładnie stało, ale potrafił dodać dwa do dwóch i wiedział, że Igor i Filip wpakowali się w niezłe gównno. I nie chciał tego gównna w swoim szpitalu. Wolalby się pozbyć Fijałkowskiego, i to możliwie szybko.

Nie mógł mu jednak pozwolić na legalne opuszczenie budynku. Wypisanie pacjenta w takim stanie bardzo źle by się dla niego, jako lekarza, skończyło.

Wreszcie uznał, że z nim nie wygra.

– Możesz się wypisać na własne żądanie. Przyniosę ci druk, a potem rób, co chcesz. Ja ci w niczym nie pomogę, rozumiesz? Jeśli chcesz stąd wyjść, wyjdiesz sam, o własnych siłach. Z lekami też ci nie pomogę.

– Muszę... zrozum.

Lekarz po raz kolejny głośno westchnął.

– Okej, przyjedź do mnie wieczorem – powiedział cicho, po czym podał mu wizytówkę. – Zadzwoń, gdy będziesz w pobliżu, ale nie podjeżdżaj pod mój dom. Załatwię ci coś, co cię postawi na nogi. To będzie jednorazowa przysługa. Taka, o której nikt się nie dowie. Zresztą i tak się wyprę. Czy to jasne?

– Jak, kurwa, twój prześliczny fartuszek, doktorku – odpowiedział Igor, spoglądając na zegarek.

Usiadł na krześle i przymknął oczy.

Musiał wszystko dokładnie zaplanować.

2

– Nie ma powodów do paniki, na pewno znajdziemy pana samochód. Jak mówiłem, sprawa jest w toku.

– Ale ja mam dość czekania. Zróbcie coś, do cholery, albo opiszę w gazecie wasze ślimacze tempo. Policja, tfu, śmiać mi się chce. Jaka, kuźwa, pytam się, policja? Co wy tam robicie na tym komisariacie?

– Komendzie – poprawił go odruchowo Rabicki.

– Dla mnie to to samo. Złapcie go i postawcie przed sądem.

– Wiem, dostaliśmy kopię.

– Wiecie w ogóle, kto to był? Co to za człowiek?

– Jeszcze nie, jesteśmy w trakcie ustaleń.

– Zadzwoń jutro, mam nadzieję, że sprawa wreszcie ruszy.

Jak nie, to media się za was wezmą.

– Jeśli coś ustalimy, odezwiemy się. Mamy pana numer.

Mężczyzna się rozłączył.

– Debil.

– Znowu ten sam? – zapytał Dominiki Rudzki. Aspirant opierał się o ścianę i lekko poruszał dłonią, w której trzymał szejker z odżywką białkową. Był dobrze zbudowanym mężczyzną z przystryżoną brodą i krótkimi włosami czesany na bok.

– Ta – potaknął Rabicki. Wstał i podszedł do dużej szafy, w której trzymali akta. Otworzył jedno skrzydło i wyciągnął pękaty segregator. – Kilka dni, a ten myśli, że złapiemy złodzieja jego rozklekotanego golfa. Przecież tyle tego jest, że nie wiem, za co się brać.

– Przejrzyj monitoring. Żeby nie było, że nic nie zrobiliśmy.

– Mam co robić.

– Ja też, wróć tu po siłowni, bo zaraz mam trening.

– Zawsze masz trening.

– Nie, w niedziele i niektóre soboty robię sobie wolne. Regeneracja.

– Rozesłałem wiadomości do pobliskich komisariatów. – Ra-bicki wzruszył ramionami. – Czekam na wieści. Na nic więcej nie mam ochoty.

– Zleć to komuś nowemu, niech popyta, podzwoni, a potem napisze raport – nakazał Rudzki i zaczął się pakować. Schował do torby bidon i tabletki, zmienił obuwie. W tej samej chwili zadzwonił telefon stacjonarny, tym razem na jego biurku. – Halo?

– Tu Krzysiek z dyżurki, dzwoni jakiś facet do kryminalnego, pyta o Igora.

– Nie ma mnie. Właśnie wychodzę – odpowiedział.

– Dzwonił wczoraj wieczorem. I dziś rano. Mówił, że ma wiadomość do przekazania, więc pomyślałem, że to ważne.

– Krzysztofie, dzięki za cynk, ale stoję w drzwiach. Zapisz dane. Oddzwonię jutro – powiedział i odłożył słuchawkę. Popatrzył za okno. Na szczęście nie padało. Kończył się październik, za parę dni przyjdzie listopad, deszcze, zimne wiatry, krótkie, ciemne dni. Miał jednak wątpliwości, czy tym razem ich praca choć trochę się wyciszy, jak to zwykle bywało w sezonie jesienno-zimowym. Mieli tyle spraw na głowie, że z bezsilności nie wiedział, za co się zabrać. Chociaż zwykle oddzielał życie zawodowe od prywatnego, to ostatnio nawet po powrocie do domu nie mógł się skupić ani na odpoczynku, ani na dziewczynie. Męczyła go sprawa Filipa, który został postrzelony w swoim mieszkaniu. Do tej pory niewiele się wyjaśniło. Kto. Dlaczego. Co dalej...

Dokuczala mu też myśl, że sprawa ma dwa wymiary: oficjalny i nieoficjalny, zakulisowy. Śledztwo było skomplikowane, chociaż o wielu rzeczach nie wiedział, bo nie miał dostępu do niektórych akt. Albo ktoś chciał temu ukręcić łeb, albo śledztwo się jeszcze na dobre nie rozkręciło. Próbował rozmawiać z szefem, ale za każdym razem słyszał to samo. Dwa zdania: „Nie wpiierdaj się. Pracują nad tym ludzie z wewnętrznej, my im tylko podajemy kawę i robimy, co każą”.

Sprawa miała jeszcze jeden wymiar – prywatny. Igor miał rodzinę, Filip miał rodzinę. Wdali się w jakieś porachunki, które mogły się odbić na ich bliskich. Co prawda zajął raz do żony Igora, zapytał, czy wszystko w porządku, czy może jakoś pomóc, ale Weronika zapewniła, że dają sobie radę. Poszedł również do mieszkania Filipa, ale nie zastał Oli i Marcela. Drzwi wciąż były zaplombowane.

Syf. Jeden wielki syf.

Powtórzył to słowo w myślach kilka razy. Wydarzenia ostatnich dni były czymś znacznie więcej. To był koszmar, którego chyba nikt nie potrafił pojąć. Uderzyli w policjantów. Weszli do ich domów, grozili rodzinom. Przerażało go, że ktokolwiek stał za tym wszystkim, pozwolił sobie na tak dużo.

Do tego parę dni temu doszło do zbiorowej egzekucji kilku kłódzkich gangsterów, wysoko postawionych ludzi oraz trzech żołnierzy. Nawet nie można było zidentyfikować ofiar, bo nie mieli jeszcze wyników badań genetycznych.

Wciąż miał przed oczami widok rozerwanych na strzępy ciał. Sześciu niebezpiecznych ludzi, którzy zginęli w przeklętych męczarniach, kilkanaście kilometrów od Kłodzka w niewielkiej przybudówce domu emerytowanego policjanta Konrada Karpowicza.

„Co za przekłety syf”, powtórzył w myślach.

– Lecę na siłownię, wpadnę później – rzucił w stronę Rabczkiego, po czym wyszedł z budynku komendy.

Kiedy wsiadał do swojego starego subaru, usłyszał dzwonek telefonu. Popatrzył na ekran. Obcy numer, pewnie jakiś telemarketer, ankieter albo inny wciskacz kitu na etacie.

– Co tym razem? Fotowoltaika czy kredyt za nerkę? – zapytał butnie, by odpowiednio ustawić rozmówcę.

I wtedy usłyszał doskonale znany mu głos. Tyle że brzmiący tak, jakby Fijałkowski dzwonił z kostnicy.

– Musisz mi pomóc, teraz. Czeka pod szpitalem miejskim. Pospiesz się.

3

Dominik rozpoznał go z daleka. Nie dało się go pomylić z nikim innym, choć nie spodziewał się, że Igor będzie w aż tak złym stanie. Na co dzień wyglądał na silnego rasowego dzudokę, teraz przypominał weterana wojennego po tygodniach ciężkiej walki. Fijałkowski, nieokrzesany człowiek z niepohamowaną potrzebą przypieprzenia każdemu, kto stanął mu na drodze, siedział na ławce na wprost szpitala miejskiego w Kłodzku w pizamie w kratkę. Miał zmęczoną twarz, ogromne sińce pod oczami, opuchnięte łuki brwiowe i zabandażowane pięści.

Dominik wjechał prawym kołem na chodnik. Igor na widok znanego auta podniósł się z trudem i podszedł do niego od strony kierowcy.

– Dzięki, jestem twoim dłużnikiem. A teraz chodź, postaw mi coś chujowego do jedzenia.

Dominik skinął głową.

W pobliskim tanim barze zamówili trzy hot dogi, wszystkie dla Fijałkowskiego.

– Cieszę się, że cię widzę. I że żyjesz. Choć, między nami, nie wyglądasz na żywego – odezwał się Rudzki.

– Też się cieszę – odpowiedział Igor na odczepne, siadając przy oknie. – Co z Filipem? Gdzie on jest? Co tu się odpiardoliło w tym przeklętym mieście?

– Nie wiem, szefowie nic nie mówią. Nic – podkreślił.

Dominik umiał kontrolować emocje. Lata treningów na siłowni nauczyły go skupienia oraz benedyktyńskiej dyscypliny, ale teraz nie mógł nad sobą zapanować. Parsknął śmiechem, próbując pokazać bezsilność. Ale i wściekłość na Igora. W sumie na nich wszystkich. Obaj coś przed nim ukrywali. Próbował ich rozgryźć. Wiedział, że się wplątali w ostro popieprzone sprawy, ale nie miał pojęcia, jaki mieli związek z masakrą dokonaną przez Konrada

Karpowicza. Zresztą dodawał dwa do dwóch już wtedy, kiedy rozmawiał z Filipem. Wiedział, że działo się coś złego. Ale o niczym mu nie powiedzieli, i to go wkurzyło. Chciał być traktowany jak równy im.

– Co się tak naprawdę stało parę dni temu? Nie musisz przede mną niczego ukrywać.

– Tyle wiem, że od paru dni jestem martwy.

– Czemu?

– Długo by o tym mówić. Włączyłem sobie w głowie tryb samolotowy i latałem w chmurach. Przez paru sukinkurwysynów z miasta.

– Kto i dlaczego cię ściga?

– Im mniej wiesz, tym mniejsze ryzyko, że pójdziesz na odstrzał, Dominik. Serio, nie wpierdalaj się w to. Wolę ci tego oszczędzić.

– Pewnie, że nie chcę się wpięprzać w gówno, ale bez tego nie jestem w stanie ci pomóc.

Igor Fijałkowski popatrzył na kolegę. Sporo się wydarzyło. Chyba jeszcze nigdy tyle nie namieszał. Lubił syf, lubił brud, żywił się miejską padliną, uwielbiał się bić, prowokować, zaczepiać. To był jego świat – ostry wpierdol, trzaskanie po ryjach, wyzwiska. Tak samo jak rodzinę kochał siłowe rozwiązanie spraw, zwłaszcza takich, w których nie skutkowały żadne procedury.

– Wkurwiłem paru gości. Znasz mnie. Wiesz, że nie usiedzę na dupie. Gdy widzę, że źle się dzieje, walę na osłep.

– Wszyscy się zastanawiają, o co w tym wszystkim chodzi. Komendant kręci się podenerwowany, z nikim nie chce gadać, co chwilę gdzieś znika, chyba popija. Zastępca komendanta jeszcze gorzej, jest jak tykająca bomba. Na komendzie panuje chora atmosfera. Może polecą głowy.

– To chyba muszę przemyśleć, czy wracać do pracy, czy nie – skomentował Igor.

– A tak serio?

– A tak serio... – Roześmiał się gorzko. Nie był dobrym mówcą. Nie używał eufemizmów, nie potrafił mydlić oczu. – Zachowasz to dla siebie?

– Zachowuję wszystko od lat, po co ten tekst.

– Zajebałem ostro paru gościom. Tyle tylko, że przez to wdepnąłem w niezłe gówno i wkurwiłem parę osób, które sporo znaczą w rejonie.

– Coś niecoś się domyślałem. Ale nie wierzę, że przez to rozpętało się w Kłodzku takie piekło, Igor. Mam swój rozum. To nie może być wszystko.

Igor machnął masywną ręką. Pod szpitalną piżamą uwidoczniły się żyły oraz posiniaczone mięśnie przedramienia.

– Nie pamiętam szczegółów, mam tylko przebłyski. Wyrwanie z łóżka. Pięść Mańkuta. Elmera. Karakana. Ale chyba jeszcze kogoś. Wytaszczyli mnie stamtąd. Zabrali do jakiejś psiej nory. Potem chcieli przejąć mój dom. Mój dom, rozumiesz? Jako zabezpieczenie, żebym im więcej nie podskakiwał. Żebym ich więcej nie ruszał. Mam sekundowe flashbacki. Coś się pojawia, zaraz potem znika. Dopiero zaczynam sklejać te urywki.

– Kurwa, Igor, jesteśmy kumplami, ale i policjantami. Wiesz, że to dopiero nabierze obrotu. Tej sprawy nikt nie zamiecie pod dywan. Zrobiliście w Kłodzku rzeczy, po których to miasto długo się nie otrząśnie.

Igor zerknął na Rudzkiego. Musiał odsłonić przed nim chociaż część prawdy, choćby dlatego, że chciał przeciągnąć go na swoją stronę.

– Pamiętam, że byłem w mieszkaniu tego luja Gawrona. Tego, co bił swojego syna i partnerkę. Tę, którą znaleźliście na wysypisku pod Łądkiem. Wpierdoliłem mu. Potem pojechałem za Mańkutem i Elmerem, oni ją wcześniej zgwałcili. Było ostro. Bardzo ostro. Poleciały stoliki, butelki, chyba też krzesło. Nie mam pewności, ale możliwe, że jednego zlałem nogą od krzesła.

Wszystkim, co było pod ręką. Ja też od nich dostałem. Gdy się ocknąłem, siedziałem w jakimś warsztacie. Pamiętam, że rozmawiałem z Bamboszem, trząsał mnie po mordzie.

Dominik przypomniał sobie to, co wywnioskował ze wszystkich rozmów z Filipem. Na jego prośbę sprawdzał w bazach danych ludzi z miasta. Krauze pytał o pseudonimy, samochody, czytał sporo akt. Ci ludzie skończyli spaleniu w komórce Karpowicza.

Rudzki nie bardzo wiedział, co z tego zlepić.

Igor najwyraźniej też nie.

– Myślałem, że przepadłem, że mnie tam zatłuką. To była zaplanowana przedłużona egzekucja. Miałem związane ręce, nie mogłem się bronić, Bambosz mnie katował. Zacząłem się modlić, żegnać z rodziną. I nagle coś się wydarzyło. Właśnie ten huk. Błysk. Jakiś dym. Myślałem, że coś wybuchło. I wtedy go zobaczyłem.

– Filipa?

– Tak. Zjawił się w tym jebanym warsztacie jak duch. Obezwładnił żołnierzy Bambosza, a potem... znów mi się urwał film. Kolejny rollercoaster. Przewożono mnie. Widziałem jasne światła. Sufit. Obce twarze. A gdy odzyskałem przytomność, było już po wszystkim. Lekarze mówili, że w Kłodzku wybuchła jakaś afera. W domu Karpowicza zabito kilku gangsterów z Kłodzka, w tym samego Roxa, jego ludzi, Karakana, Bambosza i Dakotę. Istny, kurwa, cyrk. – Igor zamilkł. Rozejrzał się po ścianach niewielkiego baru. Patrzył na wyposażenie, meble, półki, światła, obrazy; przyglądał się im, ale ich nie dostrzegał. Rozmyślał. – Od razu do niego zadzwoniłem.

– Co powiedział?

– Że już po wszystkim. Potem znów zapadłem w jakiś, kurwa, niekończący się sen, jakbym był w samym piekle. Spałem, jakbym był martwy. Obudziłem się dopiero dzisiaj. Pewnie znów mi dowalili jakieś leki. Pamiętam lekarza. Zjawił się nade mną niczym posłaniec samego diabła. Powiedział, że Filip może nie żyć. Odebrało mi mowę. Ale na szczęście nie świadomość. Wiesz,

co to znaczy?! To mój przyjaciel! Mój brat. Kocham go. Znam go od dziecka. Zrobię dla niego wszystko. Zabiję, kogo trzeba, by sprawiedliwości stało się zadość. – Igor urwał, zacisnął pięści. Bił się z myślami. – Nie miałem do kogo zadzwonić... Jesteś jedyną osobą, która może wiedzieć, co tu się, do chuja pana, dzieje.

Dominik przyglądał się zmalretowanemu koledze. Igor pod wpływem emocji mówił nieskładnie. A jeśli chcieli zrobić cokolwiek sensownego, musieli działać metodycznie, dokładnie tak, jak go uczono. Chciał złożyć wszystkie strzępki informacji w całość, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję.

Wreszcie się odezwał.

– Też jestem wściekły, wierz mi, ale nie możemy dać się ponieść emocjom. To trudna sprawa. Na razie nie ma dowodu, że Filip nie żyje. Może część osób woli, byśmy tak myśleli. Moim zdaniem on żyje. Jeśli chcesz coś zrobić, jeśli mam ci pomóc, trzeba to bardzo dokładnie zaplanować.

– Mówię ci, nie babraj się w tym syfie, nie ma sensu. Pomóż mi pozyskać trochę danych, to wszystko.

Dominik skinął głową.

„Może takie wyjście na razie będzie najlepsze. A potem się zobaczy”, pomyślał.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – zapytał Igor.

– Wszystko – odpowiedział bez namysłu.

Igor nieznacznie skinął głową, przeżuwiąc spory kawałek jedzenia. Dominik nie jadał takiego syfu, więc popijał tylko zimną wodę mineralną. Siedzieli przy oknie, patrząc na jeden z głównych deptaków Kłodzka, po którym w to październikowe popołudnie ludzie mknęli po zakupy, z pracy albo do niej. Oprócz nich w barze było jeszcze tylko dwóch klientów, dlatego mogli rozmawiać swobodnie, bez obaw, że ktoś ich usłyszy.

– Część informacji jest pewnie w aktach, chociaż nie wiem, co dokładnie ustaliliście. W każdym razie byłem w tej przekłętej kamienicy chwilę po tym, jak zgwałcili tę dziewczynę. Minałem się z tymi zwyrodnialcami w korytarzu, z Elmerem i Mańkutem, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, co zrobili. Dowiedziałem się później. I tak to się wszystko zaczęło. Od głupiego przypadku.

– Pojechałeś na Kolejową, bo dostałeś cynk, że Gawron znowu pobił swoją dziewczynę?

Igor potwierdził. Dominik nie umiał ocenić, czy kolega wstydzi się tego, co zrobił, czy jest z siebie dumny. Ale znając Igora, podejrzewał, że raczej to drugie.

– Krzysiek z dyżurki był mi winien drobną przysługę, więc dał mi cynk. Pojechałem tam sam. Planowałem to załatwić tak, jak się powinno załatwiać takie sprawy. Czyli na pełnej piździe. Tyle że tam było dziecko. Kilkuletni Damian. Kazałem mu wyjść z domu, a potem zrobiłem, co miałem zrobić. Należało mu się. Gawron przyznał się, że tamci dwaj ją zgwałcili. On ją im sprzedawał. Regularnie. Im i pewnie innym. Rozumiesz? Dzień w dzień, tydzień w tydzień. Bili ją, gwałcili. I to piekło widział ten mały chłopiec – urwał i zamknął oczy. Twarz Igora zrobiła się czerwona. Znow zaciśnął pięści.

Rudzki postanowił dać mu trochę czasu. Napił się wody, a potem zaczął ścisnąć przedramiona, jakby rozmasowywał zakwasy po intensywnym treningu. Po chwili jego żelazne palce przesunęły się w kierunku bicepsów. Z przewieszzonej przez ramię nerki wyciągnął pięć kapsulek aminokwasów i popił je wodą.

– Dowiedziałem się, gdzie ona może być – zaczął znow Igor. – Pojechałem za nimi pod jakąś kamienicę. Czekałem. Dość długo. A potem ktoś do nich wyszedł. Rozmawiali z jakimś gościem. Weszli do środka. Uznałem, że przygotuję im małą niespodziankę. Wywiozłem chłopca, a potem wróciłem na miejsce. Akurat

wsiadali do samochodu. Musiałem podjąć decyzję, co zrobić. Wejść do kamienicy, zrobić tam porządek czy jechać za nimi.

Dominik popatrzył na niego pytająco, przekręcając nieznacznie głowę w bok.

– I pojechałeś za nimi?

– Na szczęście robiło się już ciemno. Wyjechali z Kłodzka, kierowali się na południe. Przejechałem za nimi kilkanaście kilometrów, w pewnym momencie skręcili w las. Nie mogłem podjechać bliżej, boby się zorientowali. Wyszedłem z auta, chciałem podejść bliżej, ale zaraz potem ich auto ruszyło. Wróciłem po swoją hondę, ruszyłem za nimi bez włączania świateł. Wyjechali z tej leśnej drogi w kierunku Łądka. Cały czas podążałem za nimi, czułem, że coś jest grane. Coś ostrego. Przed Łądkiem ich zgubiłem. Dojechałem do samego Łądka, pokręciłem się chwilę po mieście, ale uznałem, że szukanie ich tam nie ma sensu. Musieli się zatrzymać gdzieś przed miastem. Wróciłem powoli tą samą trasą. No i okazało się, że miałem rację.

– I co? – ponaglił Dominik, bo wyczuł, że kolega zrobił zbyt długą pauzę. Igor się skrzywił. Najprawdopodobniej z bólu. Widać było, że cierpi.

– Zostawiłem auto i podszedłem do ich bmw. To było na takim placu. Wtedy skojarzyłem, gdzie jestem. Przy samym wysypisku śmieci. Zrobiłem zdjęcia, choć w ciemności wyszły słabo. Zacząłem się rozglądać, miałem złe przeczucie. Trochę to trwało, aż wreszcie trafiłem na ich ślad. I wtedy zrozumiałem, co się stało.

– Co?

– Pewnie sytuacja wymknęła się spod kontroli. Może wtedy w tym lesie, a może później. Może chcieli ją uciszyć. Albo za mocno uderzyli. Fakt jest faktem, zabili ją, przypadkiem lub nie.

– Co widziałeś na wysypisku? – zapytał Rudzki. Pamiętał, że był tam w nocy z Filipem, prokuratorem oraz miejscowymi policjantami.

– Stali tam, próbowali przykryć worek, zasypać go innymi śmieciami. Teraz już wiem, że musiała być w środku. – Dominik przytaknął, by dać Igorowi do zrozumienia, że ma rację. – Zrobiłem zdjęcia. To znaczy próbowałem zrobić, bo wyszły rozmazane. Praktycznie sama czerń i piksele. Ale chciałem ich dopaść, normalnie, mając dowody. Musiałem zrobić zdjęcia lepszej jakości, dlatego podszedłem bliżej. Nagle w coś wdepnąłem. Może w stare puszki, może coś innego, nie pamiętam za dobrze. Ale zaczęli drzeć japy. Padł strzał. Jeden, zaraz potem drugi.

– Co zrobiłeś?

– Nie jestem aż tak pojebany, by ryzykować. Poza tym, gdyby mnie dopadli, mogliby mi zabrać telefon. A w nim miałem zdjęcia. Dowód w morderstwie. Poza tym, póki byłem żywy, byłem świadkiem. Świadek policjant, pamiętaj. Nie ma nikogo bardziej wiarygodnego. Ale miałem chujowe możliwości, musiałem stamtąd spieprzyć. Zacząłem biec w stronę auta. No i udało mi się uciec. Przynajmniej częściowo – dodał Fijałkowski, po czym sięgnął po hot doga. – Ale to już nie ma znaczenia.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowylas

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

CZAS ZACZAĆ POLOWANIE W KOTLINIE KŁODZKIEJ

Kiedy aspirant Igor Fijałkowski wybudza się ze śpiączki, Kłodzko nie jest już tym samym miejscem. Filip Krauze zapadł się pod ziemię, nie wiadomo, czy w ogóle żyje. Przełożeni Fijałkowskiego milczą na temat dramatycznych wydarzeń sprzed kilku dni – zamachu na jego przyjaciela oraz zlikwidowania członków gangu. Tymczasem w okolicach Kłodzka zostaje odnalezione kolejne ciało, a życie pewnego dziecka wisi na włosku. Ktoś musi zrobić porządek w mieście...



bukowylas.pl

Cena: 54,90 zł